

Jan Rokita: Amerykański Wielki Cel

Czy mamy machnąć ręką na dalsze „wciąganie” Ameryki do Europy Środkowo-Wschodniej i zająć się jakąś wydumaną europejską „autonomią strategiczną”? Ależ broń Boże, byłaby to największa głupota. Rzecz tylko w tym, żeby nie mamić się dziwacznymi iluzjami na temat jakiegoś amerykańskiego Wielkiego Celu, który już niebawem odłoni się na naszych oczach, niczym cud mniemany – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

To już będą blisko dwa lata, jak na tych łamach, z niejakim sarkazmem, potraktowałem sławetny „powrót Ameryki do Europy” w osobie zwycięskiego Joego Bidena. Ów powrót symbolizowały doskonale pierwsze słowa, jakie nowy prezydent USA, z widocznym wzruszeniem, wypowiedział na europejskim kontynencie: „Jak to miło znów być z Angielą i Emmanuelem!” Zaraz potem Biden wygłosił w Monachium wyczekiwane w Europie przemówienie, w którym w równie uczuciowym stylu wyrażał troskę i zafrasowanie Ameryki tym, iż: „niestety, są takie miejsca w Europie, w których atakowany jest postęp demokratyczny”. Chyba tylko przez wzgląd na fakt, iż na sali siedzieli także reprezentanci rządów polskiego i węgierskiego, owych okropnych miejsc prezydent nie wymieniał po imieniu. Ale przecież nikt z uczestników tamtej monachijskiej konferencji nie miał wątpliwości, jakie to państwa europejskie wywołują u prezydenta USA tak przykre uczucia.

Tak, to prawda, że to był luty 2021 roku. I od tamtego czasu wszystko w Europie, a po części i w Ameryce, zdążyło się przewrócić do góry nogami. Lecz zwłaszcza w Polsce z radością wszyscy porzucili pamięć tamtego czasu, udając, że tak naprawdę tamte rzeczy nigdy się nie zdarzyły. Bo przecież Ameryka, niezależnie od tego, kto by nią nie rządził, zawsze miała swój Wielki Cel i strategiczny interes w Polsce i całej Europie Środkowo-Wschodniej. A już teraz, po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, wiodąc widomy wielki spór z Niemcami i Francją, dąży do „stworzenia nowej równowagi”, albo „ponownego ustanowienia reguł” w naszej części Europy, jak nazywają ów amerykański Wielki Cel znakomici polscy pravicowi analitycy, całym sercem oddani tak Ameryce, jak i temu wzniosłemu politycznemu zamysłowi. Zamysłowi, który (jak już przed laty prorokował w jednej ze swych książek George Friedman), niczym prawdziwa łaska Fortuny, odmieni radykalnie geopolityczny los Polski, czyniąc z ojczyzny, nawet bez naszego większego wysiłku, co najmniej regionalne mocarstwo.

*polskie pójście do Iraku wraz z
Ameryką, a na złość Europie,
było jednym z najbardziej
dalekowzrocznych posunięć
państwa polskiego od chwili
odzyskania przezeń
niepodległości*

Należę do grona tych, dziś w Polsce już chyba całkiem nielicznych, którzy nigdy nie zmienili przekonania, iż polskie pójście do Iraku wraz z Ameryką, a na złość Europie, było jednym

z najbardziej dalekowzrocznych posunięć państwa polskiego od chwili odzyskania przezeń niepodległości. (Choć nawiasem dodam, że jak słucham czasem współczesnego Leszka Millera, to nie mogę wyjść ze

zdumienia, że to było dzieło tego premiera). Był to bowiem akt polskiej euro-emancypacji, który stworzył *de facto* Polskę w Europie, jako samoistny podmiot. Ale w czasach Busha, który najpierw marzył tylko o przyjaźni z Kremlem, a od 11 września stał się misjonarzem antyislamskiej krucjaty, nikt w Polsce nie mówił, ani nawet nie myślał o jakimś amerykańskim Wielkim Celu, odnoszącym się do Polski, albo Europy Środkowej. Jeszcze gorzej było w tej mierze za Obamy, który sprowokował nawet rzecz tak słuszną co do istoty, ale zarazem tak żalną w formie, jak sławetny „list prezydentów”, z podpisami m.in. Wałęsy i Kwaśniewskiego, pod tytułem: „Ameryko zostań z nami!”. Krym i Donbas roku 2014 troszeczkę poprawiły sytuację, ale przecież nie zmieniły istoty środkowo-wschodnioeuropejskiej strategii Waszyngtonu, polegającej na tym, iż „w imieniu Zachodu” sprawą mają się zajmować Niemcy, ewentualnie, jak chcą, to z pomocą Francuzów. Tzw. proces miński był tego chyba wystarczająco klarownym dowodem.

Zatem te dziwaczne rachuby na jakiś amerykański Wielki Cel w naszym regionie, rozniecił chyba dopiero Trump. Też patrzyłem z satysfakcją, jak złość Trumpa na Niemcy, zalewające rynek amerykański swymi samochodami, prowokuje rozmaite propolskie manifestacje Ameryki. Ale przecież w przypadku tego prezydenta wiadomo było, że to jest bardziej kaprys przywódcy, aniżeli jakaś nowa i spójna strategia amerykańska. Determinacja, z jaką wszyscy wrogowie Trumpa, liczni także w Polsce, przedstawiali go jako niszczyciela Europy i rozwalacza NATO, choć miała mało wspólnego z prawdą, nakazywała przewidywać, iż „polski kaprys” przeminie w Ameryce wraz z Trumpem. I to tym bardziej, że poza granicami na nosie Niemcom i przyjmowaniem w Białym Domu Andrzeja Dudy na każde jego życzenie, żadnych trwałszych owoców owego kaprysu nie było widać. Choć przyznaję, można było czerpać trochę małej przyjemności, gdy po wielkiej mowie

Trumpa na Placu Krasińskich, panią Merkel podsłuchano, jak z pretensją mówiła: „Donaldzie, to świetna mowa, ale czemu wygłosiłeś ją w Warszawie, a nie w Berlinie?”.

No, a potem zaczął się Biden i pełen czułości „powrót Ameryki” do Angeli i Emmanuela. Zaczynało to już wyglądać tragicznie, gdy amerykańscy dygnitarze publicznie sondowali opcję karnego redukcjonowania i tak skromnych planów obecności U. S. Army w Polsce, zaś ogarnięta jakimś szaleństwem polska opozycja aż tańczyła z tego powodu z radości. I pewnie gdyby nie ratunek, jaki dostaliśmy od Putina, to dziś, na równi z Ukrainą, traktowano by Polskę w Waszyngtonie, jako obszar zastrzeżony dla polityki niemieckiej. Rzecz jasna, dzień 24 lutego zmienił bardzo wiele, ale wbrew pozorom nie wszystko, i bynajmniej nie trwale. Inaczej niżli w sfanatyzowanej ideologicznie Europie, w Waszyngtonie, jak zawsze w takich razach, dano pierwszeństwo mocarstwowym interesom (których Europa nie ma i nawet ich nie rozumie). Z dnia na dzień skończyły się zatem komiczne żale nad „atakowaniem postępu demokratycznego”, była mowa na Placu Zamkowym o „obronie każdej piędzi NATO-wskiej ziemi”, a w Rzeszowie lądowało parę tysięcy komandosów. Wiadomo w końcu, że jak jest jakiś poważny kłopot z Moskwą, to Warszawa się przydaje, a jej rola tym samym rośnie.

Tyle tylko, że pomiędzy tą zdroworozsądkową i doraźną korektą polityki imperium a rzekomym amerykańskim Wielkim Celem w Europie Środkowej jest prawdziwa przepaść. Zaś wnioskowanie z pierwszego o drugim jest obarczone błędem *petitio principii*, który w tym przypadku polega na tym, że z prawdziwych objawów jednej rzeczy wnioskuje się o innej nieprawdziwej, tylko dlatego, że pożądanym wnioskiem *implicite* zostaje założony, jako teoretyczne objaśnienie owych

prawdziwych przesłanek. Gdyby Ameryka nie chciała „stworzenia nowej równowagi” i „ponownego ustanowienia reguł” w Europie Środkowo-Wschodniej, to przecież nie zbroiłaby Ukrainy, nie ryzykowała wojny z Moskwą, nie porzucałaby „walki o demokrację” w Polsce, ani nie posyłałaby komandosów do Rzeszowa. To wszystko rzekomo wydaje się logiczne tylko wtedy, jeśli założy się świadome działanie Waszyngtonu na rzecz jakiegoś nowego Wielkiego Celu, w którym Polska odgrywa co najmniej taką rolę, jak w powszechnie znanej w moim pokoleniu „przepowiedni Wernyhory” (z Tęgoborza):

„Warszawa środkiem ustali się świata,
Lecz Polski trzy są stolice.
Dalekie błota porzuci Azjata,
A smok odnowi swe lice.”

W polityce lepiej jednak patrzeć rzeczywistości w oczy. W Waszyngtonie nie planują nawet obronienia Ukrainy przed rozbiorem, który uważa się tam, całkiem podobnie jak w Europie, za nieuchronny. Zakładają jako cel maksymalny, że uda się ocalić jakąś państwowość ukraińską, ale też nie są tego pewni, bo w tym celu nie chcieliby ryzykować większej wojny. Liczą na to, że choć po wojnie Rosja stanie się terytorialnie większa, to przez jakiś czas będzie ledwie zipać, więc w końcu będzie się można zająć prawdziwym wielkim kłopotem imperium – czyli fatalnym rozwojem zdarzeń na Dalekim Wschodzie. Nie planują żadnej geopolitycznej przebudowy Europy Wschodniej, tak dalece, że nawet okrojonemu państwu ukraińskiemu nie zamierzają dawać NATO-wskich gwarancji bezpieczeństwa. Nie przypadkiem nie pozwolono nam wysłać polskich Migów do Kijowa, zaś w kwietniu olbrzymi Lloyd Austin poklepał w Pentagonie po ramieniu Błaszczaka,

po czym spławił z jego żądaniemi szybszych dostaw amerykańskiej broni, co skończyło się pokazowymi zakupami dokonanymi przez Polskę w Korei.

*USA nie planują żadnej
geopolitycznej przebudowy
Europy Wschodniej*

Kiedy przed 1989
rokiem ówczesna
„flanka wschodnia”
była definiowana
jako klucz do
amerykańskich

interesów imperialnych, w kraju frontowym, czyli w Niemczech Zachodnich było 250 tysięcy żołnierzy amerykańskich, choć – jak wiadomo – wojny na wschodzie wtedy nie było. Dziś wojna jest, i to (jak się lubi mawiać w Waszyngtonie) „na wielką skalę”, ale w kraju frontowym, czyli w Polsce, ulokowano z wielkim wysiłkiem... 10 tysięcy żołnierzy. Myślę, że to jest nie najgorsza miara różnicy podejścia. Czy z tego miałyby wynikać, że mamy machnąć ręką na dalsze „wciąganie” Ameryki do Europy Środkowo-Wschodniej i zająć się jakąś wydumaną europejską „autonomią strategiczną”? Ależ broń Boże, byłaby to największa głupota, jaką polska polityka mogłaby zrobić w dzisiejszych okolicznościach. Rzecz tylko w tym, żeby nie mamy polskiej opinii publicznej, a przede wszystkim samych siebie, dziwacznymi iluzjami na temat jakiegoś amerykańskiego Wielkiego Celu, który już niebawem odsłoni się na naszych oczach, niczym cud mniemany. Bo się nie odsłoni i będzie niepotrzebne duże rozczarowanie.

Realia są tu okrutne: tylko prawdziwa wojna w Europie, z udziałem U.S. Army, mogłaby oznaczać autentyczne wywrócenie europejskiego stolika, a tej (choć ciągle jest możliwa), jako żywo, chyba nie za bardzo byśmy pragnęli. A skoro tak, to nie od fikcyjnego Wielkiego Celu

Ameryki, ale od talentów i umiejętności polskiej polityki zależy wykorzystanie szansy, jaką jest chwilowe przesunięcie politycznego centrum zachodniego świata w okolice Kijowa, Rzeszowa i Warszawy. A wykorzystanie szansy – to znaczy zarówno „wciąganie” tutaj Ameryki, tak dalece, jak tylko da się to zrobić. I bratanie się za wszelką cenę z walczącą Ukrainą, po to, by otworzyć na przyszłość zupełnie nowe perspektywy polskiej polityce wschodniej. Ale także nieprzegapienie wyjątkowego momentu w najnowszej historii Niemiec, które rozbite i zdezorientowane wojną na wschodzie, szukają nerwowo jakiegoś nowego kierunku. I jak rzadko, albo zgoła nigdy w swojej historii, mają silne poczucie, że mogłyby go poszukać razem z Polską. Bo po wojnie, niezależnie od tego, jak owo „po wojnie” będzie w praktyce wyglądać, w Waszyngtonie i tak znów uśmiechną się do Berlina, prosząc, aby „w imieniu Zachodu” zajął się tą cholerną i zagmatwaną „Eastern Europe”.

Jan Rokita